

# Byłem w Polsce – 2

23 kwietnia 2018

Jak wspominałem, na przestrzeni ostatniego roku byliśmy w Polsce pięć razy. Nie dla przyjemności. Moja teściowa leżała chora, po udarze. Sprawy wymagały uporządkowania, dom wysprzątania, urzędowe sprawy załatwienia. Nic nowego. Po prostu kolejny etap życia mojego pokolenia – pokolenia „boomersów” (od baby boomers) czy „wyżowców” (od Wyżu). Etap opieki nad odchodzącymi rodzicami. Dla nas – dzisiejszych siedemdziesięciolatków – ten etap trwa już od lat. Mój Ojciec odszedł dwadzieścia parę lat temu, inni ojcowie i matki jeszcze wcześniej. Teraz nadeszła końcówka. Ci, którzy jeszcze walczą, mają od dziewięćdziesiątki w górę.



Po rozmaitych rozmowach, próbach sprowadzenia matki do Kanady, szukaniu rozwiązań, emocjach, łzach i wahaniach dostaliśmy od niej definitywną odmowę:

„Nie – nigdzie nie pojedę, tu jest mój dom i tu umrę!”.

Ileż to razy mówiono takie słowa! Przypominają mi się nieskończona liczba podobnych dramatycznych zdarzeń, nie tylko z książek czy filmów, ale także z historii mojej rodziny. Odwieczne domy, których trzymano się kurczowo i których nie chciano opuszczać nawet za cenę samotności, smutnej

egzystencji i wreszcie śmierci.

A przecież ostatecznie czymże ten dom jest? Co znaczy jego rzekoma wartość w porównaniu z mieszkaniem z dziećmi i wnukami – nawet za cenę oderwania od ojczystego Kraju? Może się mylę, ale wygląda na to, że historia potwierdza moje słowa, bo przecież dom jest tam, gdzie rodzina. Moi teściowie budowali swój dom od podstaw. To były ciężkie, tuż powojenne lata i ten trudny czas przywiązywał do tego, co się wtedy – z takim trudem – wznosiło. Czy można się dziwić?

W czasie wielu miesięcy dywagacji o przeprowadzce teściowej do Kanady wielu mówiło o nieprzesadzaniu starych drzew i osławionym „kamieniu, który jakoby na miejscu porasta”, ale słuchałem tego jednym uchem, bo wiadomo, że każda sprawa ma swoją własną, niepowtarzalną barwę.

Tak czy inaczej mama została tam, gdzie mieszkała, i radziła sobie dzielnie, aż do czasu gdy upiór udaru zwałił ją z nóg i zostawił leżącą samotnie w kuchni, tuż przy przyrządzanym sobie smacznym obiadku.

No więc zbawienna pomoc przychodzącej z zakupami kobiety, potem pomoc sąsiadów, karetka pogotowia, szpital i decyzje co robić. Stanęło na domu opieki.

Szpitalny lekarz patrzył na nas uważnie i ze zrozumieniem.

– Też miałem taką sytuację – mówił – z własnym ojcem. Mówicie o Ukraince? Dajcie spokój. Tu jest potrzebna profesjonalna opieka. W domu nie dacie sobie rady.

Dom został pusty.

Z tych nerwów i dla rozładowania napięcia zabrałem się za ścinanie żywopłotu, który okalał posesję. Leszczyna. Wysoka na kilka metrów, zbita w gąszcz, pełna jakichś owadów, pajęczyn, splątana i mocna. Robota wyglądała na łatwą, ale już po paru chwilach wiedziałem, że łatwo nie będzie i umorduję się jak

młócący wół.

„Nie zawiązesz pyska wołowi młóścemu” przypomniało mi się, gdy walczyłem z tymi wybujałymi krzakami, więc wziąłem sobie coś do picia i robiłem przerwy, tym bardziej że co i rusz ktoś przechodził i pytał o mamę i co będziemy robić.

Pytali tak:

– No to co myślicie teraz robić?

Tak pytający, jak i ja wiedzieliśmy, że w tym pytaniu zawarte było inne, a mianowicie czy będziemy sprzedawać, a co najważniejsze za ile.

Rozmowy były bliźniaczo podobne.

– Jak tam mama?

– Niedobrze. Nie ma z nią kontaktu.

– Tak, tak – takie życie – no to co tak myślicie teraz robić?

W tym momencie zawsze chciałem zapytać trochę złośliwie „a względem czego szanowny panie?”, ale nigdy tego nie robiłem, bo wszyscy byli życzliwi i pomocni, a że chcieli wiedzieć, czy sprzedajemy, czy nie, to nie powinno dziwić, bo w rzeczy samej nieruchomość była atrakcyjna.

No więc leszczyna, a w niej – krwiożerczy wampir, diabeł z samego środka piekła, nieznany potwór – małutki kleszcz!

Prawdę mówiąc, pierwszy raz usłyszałem o tym niepozornym mordercy, gdy byłem już żonaty i dzieciaty. Nigdy wcześniej. Nie wiem dlaczego, ale u nas na Podkarpaciu nikt mi o nim i jego parszywej reputacji nigdy nie opowiadał.

A przecież za moich dziecinnych lat tłukłem się jak dzik po krzakach, rzeczках, lasach, chodziłem nad San, biwakowałem i łapałem raki! I całe szczęście, że nic o nim nie wiedziałem, bo w przeciwnym razie może nie byłbym taki beztroski – chociaż

kto wie – straszono mnie przecież szerszeniami, a mimo to zaglądałem im do gniazda, bo byłem ciekawy, jak wygląda ich królowa.

Mówiono wtedy, że trzy szerszenie użądlenia to śmierć, ale jakoś dziwnie nie brałem tego sobie zbyt głęboko do serca.

Ten leszczynowy kleszcz miał podobnie siedzieć w ogrodzie mojej teściowej od dawna i moja Żona ostrzegała mnie przed nim, ale o ile ja sam jakoś się od niego uchroniłem, to mój szwagier nie i po czterech latach borelioza dopadła go tak nieoczekiwanie, jak i gwałtownie. I to – według jego relacji – miało się stać za przyczyną kleszcza z żywopłotu jego mamy, a mojej teściowej. Właśnie tego. Wiedząc o tym, tym bardziej chciałem wściekłego kleszcza pozbawić jego pieleszy, więc ciąłem leszczynę już nie jak młóćący wół, ale zajadle i z chęcią odpłacenia mu za szwagra. Robota – chociaż z praktycznego punktu widzenia zupełnie niepotrzebna – wyszła mi na zdrowie, bo po pierwsze, nagadałem się z sąsiadami do przesyty, uspokoiłem nerwy i myśli, a przede wszystkim odpocząłem.

Nasze polskie wizyty objęły wszystkie pory roku. Byliśmy tam na wiosnę, latem, wczesną jesienią, późną jesienią i wreszcie zimą. W moich wspomnieniach płaczę czasami te okresy i bywa, że przeskakuję, a potem wracam, ale to nie jest takie ważne. Ostatecznie wszystko i tak zlewa się w jedną całość... I trudno mi powiedzieć, czy to jest całość dobra, czy powiedzmy – „mniej dobra”. Nie ulega najmniejszej kwestii, że już tam nie należę. Nie to, żebym nie czuł bluesa, ostatecznie jestem Polakiem i czuję po polsku, ale to już nie to, nie to...

Któregoś wieczoru – dla oderwania od naszych codziennych zmartwień – koleżanka zaprosiła nas do fantastycznej restauracji na Poznańskiej – niedaleko Wspólnej. Nazywała się „Prodiż Warszawski” i schodziło się do niej parę stopni poniżej poziomu ulicy. Poznańska róg Wspólnej. Samo serce Warszawy.

I ten lokal serwował grasicę!

Czy ktoś słyszał coś podobnego?! Grasic! Lubię różne podroby – jak na przykład wątróbki, nereczki, cynaderki, płucka na kwaśno, oczywiście flaczki, kurze żołądki... Lubię szpik wystukiwany z wielkiej kości, mózdzek zapiekany w kokilkach i posypany jakimś tam parmezanem, ozorki i sam nie wiem co jeszcze, ale jak długo żyję nie słyszałem o jedzeniu grasicy!

Słowo nie było mi obce. Wiedziałem, że coś takiego siedzi gdzieś w gardle, ale żeby mnie zabito, nie wiedziałem, że to można jeść. Jak się szybko okazało, można! A do tego wino ciężkie, czerwone, hiszpańskie... Cieleńca grasic ma smak wątróbkowy. Tak to czułem. Bardzo smaczna. Może smakowałyby mi jeszcze bardziej, gdybym ją podlał tym winem, ale znowu „byłem wozem”, więc pozostałem przy wodzie.

„Prodiż Warszawski”. Koleżankę, która, nawiasem mówiąc, tuż za rogiem – na Wspólnej – prowadzi kosmetyczny zakład – znają tam prawie wszyscy, więc było i miło, i rodzinnie.

Samo słowo „prodiż” przywołuje lata 60. Dobrze pamiętam. Toż to był podówczas ósmy cud świata! Elektryczny prodiż! Komfort i nowoczesność! Tak się wtedy mówiło.

Muszę też dodać, że mówiło się wtedy jeszcze, na przykład, „żelazko elektryczne” dla podkreślenia, że to już nie jest żelazko „na duszę”, ale coś całkiem nowego – coś elektrycznego!

W domu moich dziadków używano jeszcze starszego urządzenia, a mianowicie żelazka na węgle! To był kłopot z piekła rodem, który przypominał czasy Piasta Kołodzieja i Rzepichy! Bardzo wątpię, czy jakiegokolwiek muzeum ma dziś takie monstrum, ale podobnie jak obsługiwany przez dwoje ludzi gigantyczny magiel z kamiennym obciążeniem, było na wyposażeniu gospodarstwa. Mniejsza z tym.

No więc w tamtych czasach kupno prodiżu do kuchni było

przejściem na zupełnie inny etap rozwoju – coś tak jak zmiana lampy naftowej na żarówkę!

W każdym razie w „Prodiżu Warszawskim” oryginalne prodiże eksponowane są na ścianach, można je obejrzeć i dotknąć.

Następnego dnia miałem dość dziwne zdarzenie. Jechaliśmy w odwiedziny do mamy i moja Żona postanowiła kupić po drodze jakieś ciastka, żeby dać mamie i jej współmieszkance. Leżały bowiem w tym samym pokoju. O tej współmieszkance i jak doszło do wspólnego mieszkania, powiem za sekundę, ale teraz parę słów o tym moim zdarzeniu. Otóż nie miałem gdzie zaparkować. Podwiozłem Żonę pod drzwi cukierni, odjechałem paręnaście metrów dalej i przycupnąłem z boczku. Dla bezpieczeństwa włączyłem migające światła. Błąd! Prawie natychmiast podjechał radiowóz, parkować nie wolno, czy auto jest na chodzie, dokumenciki, ooo – z Kanady, a co tu robi, jak dawno w Kanadzie i tak między nami mówiąc, jak się powodzi. Odpowiadałem, jak umiałem.

– A wie pan ile nam tu płacą? – plutonowy miał wyraźnie skwaszoną minę. – Tyle co sprzątaczkom!

Zrobiłem współczujące oczy, ale jednocześnie w duchu zadałem sobie pytanie, dlaczego stróż prawa mówi takie rzeczy zupełnie obcemu człowiekowi. Czy chce, żebym go wziął do Kanady? A może chce pieniędzy? Poza wszystkim jednak nie mogłem zrozumieć, jak przedstawiciel władzy może się tak skarżyć. I jeszcze jedno – jeśli faktycznie policjant zarabia tak mało, to to nie wróży niczego dobrego. Nie ma nic gorszego niż źle opłacany stróż prawa!

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Zdjęcie: [pwłodkowski](#) (CC0)

Źródło: [Goniec.net](#)